



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



LISZKI ZMIENIAJĄCE KSZTAŁTY.

LISZKI ZMIENIAJĄCE KSZTAŁTY.

Każde stworzenie żywe ma swych wrogów, które nań czychają, stara się więc na wszelki sposób uniknąć zguby. Małe robaki lub owady są bezbronne, o ile nie posiadają jadowitego żądła; natura więc wyposażyła je w inne środki ratowania się od śmierci, a mianowicie pozwoliła im zmieniać barwę i kształty tak, iż napastnik nie zdoła rozpoznać zdobyczy wpośród otaczających ją przedmiotów. Jak powstały takie stworzenia? Rzecz bardzo prosta; niezdolne do ukrywania się ani do obrony, były pożerane i wyginęły, zwłaszcza, jeżeli nie rozmnażały się szybko; inne zaś mogąc oszukiwać wrogów, utrzymały się przy życiu i zostawiły potomstwo.

Przytoczymy parę ciekawych przykładów takiej zdolności do zmiany kształtów, która przestrasza napastnika.

Lewa rycina (fig. 1) przedstawia liszkę z południowej Ameryki (*Chaerocampa elpenor*), której ptaki nie napadają, z powodu, iż jest nadzwyczaj podobną do jadowitego węża; zwłaszcza wtedy, gdy siedzi na mokrym liściu ulubionej przez się rośliny. Liszka ta posiada w przedniej części spodu czarne plamki, niewidoczne, dopóki spoczywa spokojnie; skoro tylko jednak liść zostanie poruszonym, liszka chowa natychmiast głowę w pierścień, noszący owe plamki i przybiera postać węża z dużymi oczyma.

Druga liszka (*Dicranura vinula*) przedstawia także bardzo ciekawy przykład. Dosięgnąwszy pełni wzrostu, posiada ona barwę zieloną i czerwoną pręgę na grzbiecie. To dziwne ubarwienie, utrudnia odkrycie jej pomiędzy liśćmi i kwiatami.

Spoczywając, liszka owa chowa się w pierwszy pierścień brzuszny, który tworzy dokoła głowy przepaskę, jasno-czerwoną. Poniżej znajdują się dwie plamy czarne, naśladujące dość dobrze oczy. Przestraszona gąsienica nadyma się, i przybiera postać płaskiej głowy jakiegoś płaża.

Łatwo pojąć, że na taki widok ptaki uciekają przestraszone a gąsienica unika śmierci.

BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Dnia 19 jednak, po wyczerpującej trzydniowej podróży pomiędzy lodami, śmiałkowicie nasi, wbrew swym przewidywaniom, zdołali przedrzeć się zaledwie o 10 kilometrów ku brzegom.

Nic więc dziwnego, że do serc ich powoli zaczęło się zakradać wątpliwość, które wreszcie zmieniło się w beznadziejną rozpacz. Przez następne kilka dni posuwano się jeszcze wolniej aniżeli z początku.

Z pierwszego lepszego wału lodowego z łatwością dostrzegano miejsce opuszczone przed dwudziestu czterema godzinami; często, po całodziennem błędzeniu pomiędzy zatorami, musiano wreszcie szukać innej drogi.

Dnia dwudziestego trzeciego podróżni nasi, przebywszy z mozołem dwa kilometry przez dzikie lodowce, znaleźli się nagle nad szeroką przerwą; w tem miejscu gruba szolla, pogruchochotana przez zimowe burze kończyła się. W odległości kilku nastu metrów wystawało z drzemających wód oceanu prastare

pole lodowe, otoczone dokoła olbrzymiemi górami. Inżynier, wdrapawszy się na ściętą piramidę, daremnie szukał miejsca, w któremby oba lodowce łączyły się; ruszono więc brzegiem szczeliny; musiano jednak po kilku godzinach wrócić, gdyż dalej stawała się ona coraz szerszą.

— Trzeba wpław się chyba przeprawić — rzekł inżynier zatrzymując się. — Woda zimna da się nam we znaki, nie widzę jednak innego sposobu; jak sądzisz kapitanie?

Ford wzruszył obojętnie ramionami.

— Co do mnie ani kroku dalej nie pójdę — odparł; — czas już skończyć! Po co my się łudzimy, inżynierze? Twój balon od dwóch tygodni nie zawiera już zapewne ani metra kubicznego gazu. Niech chociaż umrę jak najbliżej bieguna.

Kapitan mówił z determinacją i spokojem, który zmroził krew w żyłach Gromskiego.

Tak, poco się łudzić? Trzy tygodnie upłynęły przecie od chwili, kiedy opuszczono aerostat. Inżynier w duszy przyznawał, iż przewidywania kapitana były więcej, aniżeli uzasadnione; pomimo to czuł się w obowiązku dodawać odwagi towarzyszom.

— Nie wypróbowałem zupełnie dokładnie nieprzenikliwości powłoki mego aerostatu — rzekł; — może zdołała ona utrzymać choć trzecią część gazu; odetniemy więc w potrzebie łódkę, a na jej miejsce zbudujemy inną, o wiele lżejszą, wyrzuciwszy nadto generator i machinę...

— To złudzenie — przerwał Ford, machnąwszy ręką; — aerostat nigdy nie udźwignie trzech ludzi. Wracaj sam, jeżeli możesz inżynierze, co do mnie, zostanę tutaj.

Gromski, po długich i gorących namowach, przewyciężył jednak apatyę i pesymizm towarzyszy.

Przeprawiwszy się po zarzuconej z ręcznie przez szparę lince — niby po wiszącym moście — nasi podróżni powlekli się dalej przez nieprzebyte lodowce.

Inżynier, patrząc na wychudłych i zniechęconych towarzyszy, mimowoli wyrzucał sobie, że oszukuje ich, budzi w ich sercach nieuzasadnioną nadzieję. Zastanawiając się jednak, przyszedł do przekonania, iż w jego własnej piersi tliła jakaś jej iskierka, której chłodne rozumowanie zgasić nie mogło. A jeżeli gaz nie uleciał jeszcze z aerostatu, dzięki warstwie aluminium, pokrywającej powłokę?

Ożywiony tą myślą, Gromski szedł wytrwale, wspinał się pierwszy na zatory, odszukiwał przejścia wśród chaosu lodowców, zachęcał słowem i czynem kapitana i Jamesa. Te ostatnie wysiłki na nicby się wszakże nie zdały, gdyby wypadek nie wprowadził żeglarzy na dobrą drogę. Okazało się, iż prastare pole lodowe, na które przeprawiono się z takim mozołem, graniczyło z olbrzymią gładką szollą, rozciągającą się daleko na północ; podróż po lodzie tego rodzaju była igraszką w porównaniu z błędzeniem wśród palaokrystycznego oceanu *)

Dnia 24, z poza błyszczącej na horyzoncie wstęgi lodowej, wynurzyły się wreszcie ciemne sylwetki nadbrzeżnych dolorytowych skał, wpośród których leżał aerostat. Słońce biegunowe wskazywało północ, kiedy nasza trójka znalazła się na wzniesionym na kilkanaście metrów po nad ocean przyładku, z którego kapitan z łatwością dostrzegł szollę z długim łańcuchem owych fatalnych gór lodowych.

Niewielką przestrzeń wzdłuż brzegów przebyto wygodnie po lądowym lodzie, otaczającym trwałą obręczą skały nadmorskie. Inżynier, wyprzedziwszy towarzyszy, z biciem serca wdął się na pagórek i przecisnąwszy się pomiędzy skałami, stanął nagle nieruchomy, jak posąg, u brzegu kotliny, na dnie której spoczywał aerostat.

Zamiast olbrzymiego cielska balonu na śniegu leżała jakaś bezkształtna masa... góra pomarszczonej tkaniny, z pod której sterczały błyszczące skrzydła śruby i końce pustyj łódki. Gromski odcnął się ze swego osłupienia wtedy dopiero, kiedy Ford położył mu na ramieniu rękę.

*) Palaokrystycznym nazywa się ocean, pokryty olbrzymiemi zwalami, nigdy nie topniejących lodów.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się ochryplym, strasznym głosem marynarz; — twój balon bez duszy? No, podaj dłoń! Zostajemy razem, tu o pół stopnia od bieguna południowego.

XV.

POLOWANIE NA MORSY.

Żadna z wypraw podbiegunowych nie znajdowała się chyba dotychczas w tak rozpaczliwym położeniu, jak nasi żeglarze powietrzni.

Żałogi rozmaitych okrętów zatopionych, zgruchotanych lub uwięzionych przez lody, w najgorszym razie szukać mogły ocalenia w szalupach, albo też próbować dotrzeć pieszo do nawiedzanych przez wielorybników okolic. Nasi podróżni zaś, straciwszy swój statek powietrzny, byli zgubieni bez ratunku. Powrót wodą i lądem przedstawiał dla nich jednakowe niepodobieństwo; łódki, choćby najmniejszej, nie posiadali, podróż zaś przez góry pokryte wiecznymi lodami i śniegiem ze śmiesznem graniczyłaby zuchwalstwem. Do tego zakątka świata, gdzie się znajdowali, nie przenikały nigdy żadne okręty; daremnie więc oczekiwano na obcą pomoc.

Zbawić ich mógł tylko wodór. Subtelny ten gaz odrzucałby ożywić obumarły aerostat, przywrócić mu siły. Na całej powierzchni olbrzymiego lądu Południowego Gromski nie znalazłby jednak materiału do wydobywania drogiego pierwiastku; nie marzył nawet o tem. Być może, iż gdzieś o setki stóp pod skałami, na których spoczywał bezwładny balon, leżały pokłady żelaza i siarki, ale cóż z tego? Chemia zaś nie posiada żadnego innego łatwiejszego sposobu otrzymywania wodoru, jak tylko z kwasu i metalu; gdyby nawet podawała jaki — inżynier dla braku środków pomocniczych nie potrafiłby z niego skorzystać. Czasami napełnia się balony gazem oświetlającym, który jest daleko cięższym od wodoru. Skąd jednak nasi żeglarze mieli wziąć węgiel kamienno-gazowy i aparatów dystylacyjnych?

Inżynier, szukając w myśli środków do zastąpienia wodoru, przypominał sobie o montgolfierach, wznoszących się za pomocą rozrzedzonego ciepła powietrza. Balony tego rodzaju nie są jednak w stanie utrzymać długo swej siły wzlotu i spadają zwykle w parę godzin po wypuszczeniu ich, prócz tego wymagają znacznej ilości paliwa, którego zupełnie nie posiadali nasi podróżni. Inżynier musiał więc przyznać, iż cała jego wiedza techniczna jest bezsilną w obec następujących trudności. Zuchwałą załogę aerostatu miał spotkać los, przewidziany z góry w pamiętnym artykule dziennika *World*.

Kapitan i James stosunkowo dość obojętnie pogodzili się ze smutną rzeczywistością.

Dzielni ci marynarze, straciwszy nadzieję ocalenia, pragnęli już tylko jaknajlepiej dla nauki spożytkować resztę życia.

Z zapałem fanatycznym zabrali się do meteorologicznych, magnetycznych i kosmograficznych badań; Ford urządził sobie na szczycie skały, panującej nad morzem, małe ale wygodne obserwatorium i przepędzał w niem cały swój czas; oznaczał starannie temperaturę, stan barometru i psychometru, nachylenie i odchylenie igły magnesowej: jednym słowem zbierał obfity materiał naukowy.

— Umrzemy na stanowisku — powtarzał; — rezultaty tych badań dostaną się kiedyś może w ludzkie ręce; do jesieni da się zrobić jeszcze niemało.

James na chwilę nie odstępował swego dowódcy i żarliwie pomagał mu w pracy.

(d. c. n.)

KOZIOŁ ZBAWCĄ WAROWNI.

Król czeski Karol IV zwany „ojcem swych poddanych”, wkrótce po wstąpieniu na tron, postanowił zbudować w pobliżu Pragi niezdobytą, twierdzę, w której mógłby bezpiecznie przechowywać skarby i dokumenty koronne. Zbiory te za-

wierały królewską koronę i klejnoty; skarbiec pełen złota i srebra, archiwum w którym składano wszelkie ważne dokumenta krajowe, a wreszcie relikwie świętych i pamiątki, które król nagromadził. Karol IV życzył sobie, aby ze względu na swe przeznaczenie, warownia ta przewyższała wspaniałością i ozdobami wszelkie inne, a od jego imienia zwała się Karłowtynem.

Trzy obszerne kaplice czyniły Karłowtyn celem pobożnych pielgrzymek; kaplice te były tak bogato i wspaniale ozdobione, że tylko Włochy mogły się wówczas szczycić czemś podobnem.

W głównej wieży urządzono królewską, czyli koronną kaplicę, 8-go Krzyża, najkosztowniejsze i najświętsze miejsce w całym zamku, nad upiększeniem którego najwięksi artyści owego czasu pracowali przez lat 17, to jest aż do 1365 roku, kiedy po ostatecznym wykończeniu jej nastąpiło uroczyste poświęcenie całego zamku.

Współczesne kroniki powiadają, że pod względem piękności i bogactwa nie było równej w całym świecie. Gdziekolwiek zwrócono oko, spoczęło na złocie i drogich kamieniach. Sufit przedstawiał sklepienie niebieskie na którym błyszczało złote słońce, księżyc i gwiazdy; ściany do wysokości wzrostu człowieka wyłożone były drogiemi kamieniami. Nad temi wisiały złote i srebrne tarcze znakomitych rycerzy; wyżej jeszcze umieszczono obrazy świętych pańskich wykonane przez znakomitych owocnych mistrzów. Okna składały się z przezroczystych szlachetnych kamieni oprawnych w pozłacany ołów. Kaplicę oświetlało 1330 świec zatkniętych w pozłacaną kratę, która się wzdłuż ścian ciągnęła.

Na uroczystem poświęceniu Karłowtynu obecnymi byli oboje królestwo z całym dworem, książęta i wojewodowie, biskupi i inni dostojnicy kościelni, rycerze i wielu szlachty, prócz niezliczonego mnóstwa ludu. Karol naznaczył dziekana i czterech kanoników, których obowiązkiem było odprawić codziennie nabożeństwo, dalej burgrabiego i 22 rycerzy którzy we dnie i w nocy strzegli grodu. Trzymali oni kolejno straż na murach, i co godzina obwoływali hasło: „Dalej od grodu, dalej, aby nie spotkało nieszczęście niespodziane!”

Przez pozostałe 20 lat swego życia król Karol corocznie bywał w Karłowtynie, tu samotnie zwiedzał sąsiednie góry i lasy, a prócz pracy nad sprawami państwa, oddawał się nabożeństwu i rozmyślaniam.

Podczas wojen husyckich Karłowtyn został oblężony, zbudowany wszakże na niedostępnym skale zamek niełatwo było zdobyć. Nieprzyjaciela musieli ograniczyć swe działanie na strzelaniu do murów z pobliskich gór, lub na zmuszeniu załogi głodem do poddania się. Rozłożyli się tedy obozem do koła i ze swych olbrzymich dział rzucali do grodu kamienie, z których jeden ważyący kilka centnarów dotąd widzieć można na wałach. Liczbę oblegających podają na 24,000, podczas gdy broniło twierdzy tylko 400 wojowników. Oblegający przebyli całe lato pod murami grodu, pragnąc go za jaką bądź cenę zdobyć, załoga zamkowa używała wszelkich obronnych środków ówczesnej sztuki wojennej, aby się nie poddać.

Nastąpiła jesień a z nią chłody. Oblężeni zdawali się być niezwykłymi, chociaż głód dotkliwie czuć im się dawał. Ale i oblegających znużyła długa i bezskuteczna walka. Dowiedziawszy się o tem zniechęceniu oblężeni postanowili użyć wybiegu. Posłali z prośbą do nieprzyjaciół aby na jeden dzień zaniechali strzelania, bo załoga chce wyprawić wesele jednemu ze swoich żołnierzy. Gdy zgodzono się na ten pożądaný odpoczynek, z grodu do obozu dolatywać zaczęły odgłosy krzyków, śpiewów, bębnow, muzyki towarzyszącej tańcom, lubo na Karłowtynie nikt tańczyć nie myślał. Słyszając to oblegający żołnierze szemrać zaczęli:

— Oni tam weselą się, piją jedzą i tańczą, a my tymczasem znosimy zimno i niewyczas. Odstąpmy od oblężenia! bo oni z pewnością głodu nie mają, inaczej nie byłoby im tak wesoło.

A oblężeni właściwie nie mieli już co do ust włożyć, pozostał im tylko kozioł, który chodził po podwórzu skubiąc

trawę. Zabili go więc na rzekome gody weselne i świeżą pieczeń posłali do obozu obsypawszy ją sześcią sarnią, wydobytą z siodeł. Poseł, który tę pieczeń przyniósł, rzekł do nieprzyjacielskiego wodza:

— Rycerze z Karłowtynu bardzo dziękują panu hetmanowi za udzielone im zawieszenie broni, bo dzięki temu mogli spokojnie odprawić wesele. Pan młody zaś w dowód wdzięczności przysyła tu sarnią pieczeń, abyście także z weselnej uczyły coś pokosztowali.

Dowódca oblegających przyjął dar i podziękował u-

Prócz wielu ciekawych rzeczy pokazują w Karłowtynie starą wyschlą studnię 92 metry głęboką, na dnie której wykuty jest kurytarz, nie wiadomo jednak dokąd on prowadzi; figurkę alabastrową Najświętszej Panny Maryi, Ś-go Mikołaja z lipowego drzewa wyrzeźbione przez Karola IV, który w wolnych chwilach chętnie się rzeźbą zajmował. Wart też widzenia kłęcnik tego monarchy misternie wyrobiony z cedrowego drzewa przywiezionego z góry Libanu.



Pan młody w dowód wdzięczności posyła tę sarnią pieczeń...

przejmnie, wydziwić się jednak nie mógł skąd w zamku świeżej zwierzyny dostano i nabrawszy stąd przekonania, że załoga ma jakieś porozumienia z okolicą, i że mieszkańcy tejże dostarczają jej żywności, zwinąć kazał obóz. Na ten widok oblężeni nie posiadali się z radości i długo, gorąco dziękowali Bogu, że za Jego sprawą kozieł został zbawcą warowni.

W ten sposób skończyło się oblężenie Karłowtynu trwające blisko pół roku.

Karłowtyn obroniwszy się przed husytami później wszakże uległ zniszczeniu przez swoich, skarbiec zaopatrzony hojnie przez Karola IV opróżnił syn jego Zygmunt. Zabrał klejnoty naczynia i ozdoby kościelne, a nawet relikwie świętych.

Odtąd Karowtyn podupadł i opustoszał. Rudolf V kazał go odrestaurować i przeznaczył na wiano królewien czeskich. W roku 1750 cesarzowa Marja Teresa darowała go zakonowi panien kanoniczek, do których dotąd należy.

W ostatnich czasach restaurują Karłowtyn nakładem królestwa czeskiego, aby starożytna pamiątka zachowaną została.

MAŁY KRÓLEWICZ,

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WĘGERSKICH.

przez Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

II.

Lat kilka cichych i pracowitych minęło dla Izabelli; przez ten czas zdobyła ona sobie serca poddanych, bo ileż rodzin, które wojna zrujnowała, dźwignęła z niedoli, ilu jednostkom życie uratowała... Węgrzy uwielbiali swą królowę, każdego niemal ranka widzieli ją z Halą i Anuą, jak śpieszyły do najuboższych dzielnic miasta szukać nędzy, często z Budy wycieczki odbywały w różne strony kraju, by się dowiedzieć, czy tam nie ma takich, co płaczą i skarżą się na swój los. Węgrzy kochali Izabellę, a ona czuła się szczęśliwą, serca ich posiadając, a w domu miała skarb wielki.

Bóg ją dziecięciem obdarzył, u nóg jej igrał mały synek, któremu imię Zygmunt dano na chrzcie. Było to południe, Hala wróciwszy ze zwykłej rannej wycieczki, odpoczywała w swym pokoju, dziś ona tylko i Anna chodziły, królowa zawiadomiła je, że męża odstąpić nie może, bo zasłabł nagle. Hala siedziała smutna, bo Anna przez całą drogę, gdy szły razem, jak puszczak złą przyszłość wróżyła.

— Umrze, umrze z pewnością — powiedziała jej — biada nam, biada Izabelli, Ferdynand wystąpi z pretensjami do korony Węgier, znowu wojna wybuchnie, znowu ludzie ginąć będą, łzy, które królowa już w połowie osuszyła, popłyną, nędza się rozgości napowrót, o biada, nam biada. — Słowa te jeszcze dźwięczały w uszach dziewczęcia i na jasne jej czoło posępna chmurę ściągnęły; wtem usłyszała czyjeś kroki. Nim zdążyła wstać, drzwi jej pokoju rozwarły się i stanęła w nich Anna Kollar; posępna była w tej chwili, jak noc pochmurna.

— Idź do królowej — rzekła — król umarł.

Hala krzyknęła i zbladła, Anna przystąpiła do niej, położyła dłoń na jej ramieniu.

— Panuj nad sobą — rzekła surowo — ona więcej cierpi

nie, wzięła z kołyski malutkiego Zygmunta, zaniósła go do matki i na kolanach jej położyła. Serce dobrze jej poradziło, królowa objęła ramieniem synaczka.

— Błuznię — rzekła — sama nie zostałam, mam ciebie, mam dla kogo żyć, tyś biedniejszy odemnie, tyś sierota, kto ciebie bronić będzie, gdy wróg zechce wydrzeć ci dostojeństwo ojca.

— My — odezwał się poważny głos, i w progu komnaty ukazał się Martunizi, a za nim Anna.

— Zdobyłaś sobie serca Węgrów, królowo — mówił podskarbi — byłaś im matką przez te lat kilka, oni jak matkę bronić cię będą, gdy obcy zechce cię krzywdzić — Królowa podniosła na niego wzrok pełen wdzięczności.

— Dzięki wam za te słowa — rzekła.

— Nie dziękuj, Węgrzy mają dla ciebie obowiązki wdzięczności — odparł — byłaś dobrą dla nich w niedoli, oni ci tem samem odpłacą; Martunizi ma dług wdzięczności zaciągnięty względem



ZAMEK KARLOWTYN.

od nas. Idź do niej, tyś jej miłsza, niż ja, dawniej ciebie ona zna i kocha, tyś młodsza, łącniej na słowo pociechy się zdołasz, idź, a ja po Jerzego Martunizi pośpieszę.

To powiedziawszy wyszła z pokoju, Hala do królowej pośpieszyła, znalazła ją siedzącą cicho, jak posąg, z rękoma splecionymi, wpatrzoną w jeden punkt. Zbliżyła się do niej, przyklękła u jej nóg.

— Pani moja — szepnęła.

Na więcej zdobyć się nie mogła, lecz słowa te wymówiła towarzyszka lat dziecinnych, przypomniały się Izabelli chwile szczęśliwe w domu ojca spędzone, pochyliła głowę ku serdecznej przyjaciółce i z piersi jej łkanie się wyrwało.

— Halo! Halo! on nie żyje — jęknęła — jam sierotą...

I znowu umilkła i siedziała jak posąg nieruchoma ze żrenicami suchemi. Hala nie wiedziała co czynić, nie umiała znaleźć słowa pociechy... Nagle błysnęła jej myśl szczęśliwa, wstała, oddaliła się szybko; w sąsiednim pokoju stała kołyska królewicza, tam podążyła; dziecko spało, piastunka czuwała nad nim, ona nie zważając na to, nie pytając o pozwole-

twego męża, królowo, długu tego nie spłaciłem jeszcze, com ojcu winien, oddam synowi... Zygmunt Zapolya wiernego mieć będzie sługę w Jerzym Martunizim Ujtsenowiczu... Posłuchaj pani historii mego życia, a uspokoi cię ona, bo przekona, że nam w istocie obowiązki względem rodziny Zapolyi: Niegdyś w Kroacji słynęła rodzina Ujtsenowiczów zamożna i potężna, ja z tej rodziny pochodzę, koleje losów zniszczyły ten ród; gdy przybył na świat, blask jego już był przyćmiony, wkrótce ojciec odumarł, majątek runął, matka, nie czując się na siłach mnie wychować, oddała niemowlę bratu swemu, biskupowi Dalmacyi, Jakubowi Martunizi, a chcąc jego łaski i serce zjednać sierocie, nazwisko ojca mego zmieniła na swoje rodzinne, odtąd zwałem się Martunizim. Lecz wuj wkrótce zapomniał o mnie i byłbym zginał z nędzy, gdyby nie rodzina Zapolskich, która mnie sierotę przygarnęła i wychowała. Znękany kolejami losu, pragnąłem w ciszy szukać szczęścia i dorósłszy, do klasztoru wstąpiłem, lecz gdy Jan Zapolya królem został, wyrwał mnie z celi zakonnej, do swej rady przypuścił, obdarzył zaszczytami, uczynił biskupem Wielkiego Waradynu, wo-

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

jewodą Siedmiogrodu, wielkim podskarbis państwa, wszystko co mam obecnie jemu zawdzięczam, więc cokolwiek uczynię dla syna twego królowo, dług tylko mu oddam, nic więcej.

Izabella podała dłoń podskarbiemu.

— Grzeszyłam, mówiąc, że opuszczona — rzekła — kto ma przyjaciół w nieszczęściu, temu niewolno nazywać się nieszczęśliwym.

Gwarne dni nastały teraz w zamku królów węgierskich w Budzie: cochwila ktoś zjeżdżał na pogrzeb, który miał się odbyć wspaniale. Izabella zapanowała nad smutkiem, musiała witać wszystkich, myśleć o wszystkim. W wielkiej sali zamkowej na katafalku paradnym stało ciało królewskie, całe ranki odprowadzono przy nim nabożeństwo, Izabella całe ranki tutaj spędzała.

Wśród przyjeżdżających wówczas gości do Budy, przybył także Ferdynand arcyksiążę Austriacki, układny i grzeczny dla wszystkich, dla panów węgierskich szczególnie. W czasie pogrzebu królowę za trumną prowadził, po pogrzebie panów do siebie zaprosił i rozmawiał z nimi o zmarłym królu, wyrażał się o nim jak o przyjacielu serdecznym, królowę chwalił, jako niewiastę rzadkiej urody i dobroci, o synu jej mówił, że pokochał go jakby bratem mu był, biskupowi schlebiał, mówiąc, iż zazdrości Izabelli takiego doradcy i radby go mieć u siebie ministrem. Gdy wreszcie skończyły się ceremonie pogrzebowe, prosił, by mógł pożegnać królowę i pomówić z nią bez świadków. Izabella zgodziła się na to, kazała tylko pozostać przy sobie dwóm damom dworu, Annie i Hali. Ferdynand wszedł z miną urzędową, smutną, zastosowaną do żałobnej sukni królowej, skłonił się przed nią i wyraził żal nad śmiercią Jana Zapolii. Królowa spokojnie wskazała mu krzesło, by usiadł.

— Strata to dla nas większa, niż dla kogokolwiek — rzekła z powagą — lecz nie narzekam, Bóg dobrym dla mnie w nieszczęściu, zostawił mi licznych przyjaciół, którzy pomogą mi syna wychować, by umiał z czasem nosić godnie koronę i sprawiedliwie panować.

Twarz arcyksięcia spochmurniała.

— Czuję się w obowiązku zapytać cię królowo, czy wiesz, jaką umowę zawarłem z twym mężem, gdy pokonany, prosił mnie o pokój lat temu cztery? — zapytał chłodno.

— Nie wiem — odparła Izabella.

— Jan Zapolia przyrzekł mi wówczas, że po jego śmierci, ja na tronie Węgier zasiadę. To rzekłszy Ferdynand wzrok zwycięzcy podniósł na królowę.

— A syn mój? — szepnęła blednąc Izabella.

— Syna nie miał wówczas jeszcze Jan Zapolia, lecz mógł przypuszczać że go mieć będzie, a jednak żadnych zastrzeżeń nie uczynił. Umowa nasza wprawdzie była ustną, lecz sądzę, że słowo równie jak pismo obowiązuje — mówił tonem dumnym arcyksiążę — jeżeli dopełnisz dobrowolnie warunków umowy królowo, ofiaruję ci na mieszkanie dobra w mem państwie, gdzie będziesz mogła pędzić życie spokojnie, w dostatkach; a jeśli syn twój względy moje zyskać potrafi, wychowam go na przyszłego króla Węgier.

— Syn miłszy mi nad wszystko — odparła Izabella — jeśli panowie węgierscy zgodzą się na wasze zadanie, chętnie ustąpię z Budy, ufna, że arcyksiążę Ferdynand dotrzyma obietnicy memu synowi.

— A zatem jadę do Wiednia, by oznajmić ojcu memu, iż królem Węgier zostanę — rzekł Ferdynand powstawszy — a pani czyn tutaj tak, by panowie węgierscy zgodzili się na twoje i moje życzenie, bo gdyby mi opór stawiali, orężem dopominałbym się o me prawa — i skłoniwszy się wyszedł.

— Królowo, więc ty lud twój w ręce Niemca wydajesz? — wybuchnęła z żalem Anna, zaledwie arcyksiążę znikł za drzwiami — więc ty nas zdradzisz?

Izabella spojrzała na nią przestraszonym wzrokiem, Hala z wymówką, wtem boczne drzwi komnaty rozwarły się i wszedł Martunizi.

— Co chciał od was, królowo, arcyksiążę? — spytał.

Izabella powtórzyła mu całą rozmowę.

(d. c. n.)

Ale ani przekładania przyjaciół, ani lzy i prośby Marioty nie wywierały wpływu na leśniczego. Nie dziwiło to zresztą nikogo. Ogólnie znaną była nieustraszonosc Nika, wytrwałość jego, a raczej upór. Powiedział że pójdzie do zamku i pójdzie; na nic zważać nie będzie, nie ulęknie się rzucanej mu groźby. Tak! pójdzie do zamku choćby nawet powrócić już nie miał nigdy!

I poszedł, uścisnąwszy na pożegnanie Mariotę, która zęgnęła się pobożnie i wznosiła do nieba zapłakane oczy.

A doktor Patak? Poszedł także i doktor Patak, chociaż wszelkimi siłami starał się wymówić od towarzyszenia leśniczemu. Wymawiał się, tłumaczył, zasłaniał, wynajdywał tysiączne przeszkody, aż wreszcie wpadł na szczęśliwy pomysł: pójść nie może, bo mu grozi nieszczęście! tak głos tajemniczy ostrzegał, wszyscy to przecie słyszeli.

— Ta groźba mnie tylko jednego dotyczy — odparł zwięźle leśniczy.

— A gdyby ciebie spotkało jakie nieszczęście, czy myślisz, Niko, że wyszedłbym cało z przygody?

— Cało, czy nie cało, obiecaliście, panie, udać się ze mną na zamek, a skoro ja idę, to i wy także pójść musicie!

Zrozumiawszy, że Niko nie da się odwieść od spełnienia swoich zamysłów, mieszkańcy wioski nie brali mu za złe, że doktora trzyma za słowo. W istocie, lepiej, aby Niko nie sam rzucał się na przygody. To też doktor choć mocno z tego nie rad, czuł przecie że cofnąć się nie może, bo skompromitowałby się niepowrotnie i stał się przedmiotem ogólnego pośmiewiska. Zgodził się więc z losem, ale mocne miał postanowienie skorzystania z pierwszej przeszkody, która się w podróży nawinie, by z drogi zawrócić i towarzysza skłonić do odwrotu.

Wyruszyli więc w drogę Niko Deck i doktor Patak a nauczyciel Hermod, Fryk i Jonasz odprowadzili ich aż do pierwszego zakrętu drogi wiodącej w góry.

Stąd raz jeszcze spojrzął sędzia na zamek przez szklą dalekovidzą, z którym nie rozstawał się już wcale. Nie widział jednak było najmniejszego obłoczka dymu nad kominem zamkowym, chociaż w pogodny ten wiosenny ranek, na tle bezchmurnego nieba dostrzedzby go można z łatwością. Należało może wyprowadzić stąd wniosek, że bawiący w zamku goście z tego lub z innego świata wynieśli się ujrawszy, iż leśniczy za nie siebie ma ich pogróżki? Tak przynajmniej zdawało się niektórym, skutkiem czego ogólnie uznano, że Niko Deck i doktor powinni doprowadzić do końca śmiało przedsięwzięcie.

Podano więc sobie dłonie, pożegnano się raz jeszcze, poczem Niko, uprowadzając z sobą doktora, zapuścił się w wąwóz górski.

Młody leśniczy miał na sobie strój, który zwykł przywdziewać do lasu: czapka z dużym daszkiem, szerokim otoczona lampasem, kurtka obciśnięta pasem, z którego zwieszał się nóż myśliwski i ładownica, wysokie buty z podkówkami i dubeltówka na ramieniu. Używał on zasłużonej reputacji najlepszego na całą okolicę strzelca, a ponieważ w braku upiórów można było spotkać jakich włóczęgów nadgranicznych, albo w braku włóczęgów, niedźwiedzia, nieprzyjazne mającego zamiary, sama przeto roztropność nakazywała zaopatrzyć się w środki obronne.

Co zaś do doktora, ten uznał za stosowne uzbroić się w stary pistolet skałkowy, mocno już uszkodzony. Miał także i toporek, który wziął mu doradził Niko na wypadek, gdyby — co było zresztą dość prawdopodobnem — przyszło torować sobie drogę przez gęszcze leśne okrywające dno i boki wąwozu. Z dużemi skrzydłami kapelusz, gruba gunia góralska, ciężkie, mocno podkute buty, cały ten strój podróźny nie prze-

szkodziłby doktorowi drapnąć, gdyby tylko nadarzyła się ku temu sposobność.

Obaj wędrowcy zaopatrzyli się w zapasy żywności, aby w razie potrzeby móżd przedłużyć wycieczkę.

Skrećwszy z gościńca w wąwóz, Niko i doktor szli czas jakiś brzegiem potoku biorącego swe źródło w wysokiej płaszczynie górskiej, zwanej płaskowzgórzem Orgall'u. Droga z początku łatwa, stawiała się coraz uciążliwszą; glazy, pnie drzew przez wichre obalonych, sterczące tu i owdzie korzenie utrudniały przejście, ani śladu najmniejszej choćby ścieżyny, a zarośla tak nierozwikłaną tworzyły gęstwinę, że nie tylko zamku, ale nawet drzew rosnących na stokach wąwozu dojrzeć nie mogli podróźni.

Trudno im nawet było zorientować się co do kierunku, jakim iść należało. Za jedyną w tej mierze wskazówkę służyć im mogło słońce, którego promienie muskały sterczące w niebo gór wierzchołki.

— Widzisz, Niko—mówił doktor—wiesz! Drogi już nawet nie będzie... Właściwie mówiąc, już jej nie ma!

— Znajdzie się—krótko odparł Niko.

— Łatwo ci to powiedzieć.

— I łatwo znaleźć.

— Trwasz więc w zamiarze?

Za całą odpowiedź głową kiwnął leśniczy i bezdrożem w las zapuszczać się począł.

Na ten widok ogarnęła doktora szalona ochota zawrócić do domu, ale towarzysz jego obejrzawszy się po za siebie takie mu rzucił spojrzenie, że nie śmiał pozostać w tyle i pomimo strachu poszedł w ślad za Nikonem.

Jeszcze jedną, ostatnią miał doktor Patak nadzieję: spodziewał się, że Niko zabłądzi w tej leśnej gęstwinie, do której z obowiązku służby nigdy zaglądać nie potrzebował. Taką żywiąc nadzieję, nie nie liczył na ów wąż cudowny, na instynkt zwierzęcy niedłwie, wprawą i doświadczeniem spotęgowany, który człowiekowi przyzwyczajonemu do szukania drogi w lesie, pozwala kierować się wskazówkami dla innych oczu niedostrzegalnymi: pochyleniem gałęzi w tę lub ową stronę, barwą kory, i mchów różniących się odcieniem, stosownie do tego, czy na północny czy na południowy wiatr są wystawione. Niko Deck znał swój fach za dobrze i za wiele miał roztropności wrodzonej, aby mógł kiedykolwiek zabłądzić, nawet w zupełnie sobie nieznanej miejscowości leśnej. Godnym był zaiste współzawodnikiem czerwonoskórych Indian,

A jednak przebycie tej części boru nastroczało niemałe trudności. Wiązy, jawory, klony, wspaniałe buki i dęby, rosnące na niższych piętrach gór, tworzyły nad ich głową sklepienie, dla promieni słońca nieprzebite, i szeregiem pni starodrzewu zastępowały drogę idącym, wyżej zaś rosły brzozy, sosny i świerki, których wysokie wierzchołki sięgały tej strefy, gdzie drzewa ustępują miejsca kosodrzewinie, zanim ona z kolei mchom i porostom ustąpi.

Względnie łatwem mogło być jeszcze przedzieranie się wpośród grubych, splekaną korą okrytych drzew odwiecznych, których nisko rosnące gałęzie zmuszały idących do schylania się za każdym prawie krokiem. Najtrudniejszą do pokonania przeszkodę stanowiły nie drzewa, lecz okrywające bujnym porostem ziemię pokrzywy i cierniste krzewiny, za lada dotknięciem wpijające się w ciało łatwo łamliwymi kolcami. Niko Deck nie należał jednak do ludzi zważających na podobne drobnostki, a byle mógł przedrzeć się przez las, nie dbał wcale o draśnięcia i ukłócia. W takich jednak warunkach odbywany pochód z konieczności powolnym być musiał, co nie na rękę było podróźnym, którym wiele na tem zależało, aby koło południa stanąć w zamku. Zwiedziliby go w takim razie przed wieczorem, a przed nocą stanęli z powrotem we wsi.

To też z toporkiem w ręku torował sobie drogę leśniczy przez cierniste gąszcze, roślinami bagietami najeżone, a wyrastające na gruncie nierównym, kamienistym, gdzie co krok można było o korzeń się potknąć lub zapaść w przegniłe liście suche, grubą warstwą przetrwał wiatr naniesione. Za każdym także krokiem strzelały z łoskotem suche, nogą przydeptane strąki, strzelanina ta zaś przerażała do najwyższego stopnia

doktora, który ze strachu oglądał się to na prawo, to na lewo, za siebie i zatrzymującym go kolcom wyrywał się tak gwałtownie, jakby go dyablskie szpony chwytali. Bał się nieborak, bał okropnie, ale że teraz już za nic w świecie nie odważyłby się sam powracać, mimochłód więc podążał w ślad za towarzyszem, nieustraszenie idącym naprzód.

Chwilami rozstępowały się drzewa, las rzedniał, zalewały go światła strumienie. Bociany w samotni swojej splezione, zrywały się z gniazd wysokich i z szumem bijąc skrzydłami, wznosiły się w powietrze. Przebycie takich polanek było jednak równie trudnem jak pochód przez bór; leżały tu bowiem ogromne kłody drzew burzą lub starością powalonych, pnie na pół spróchniałe, których gałęzie krzyżujące się ze sobą tworzyły niepodobną do przebycia zapórę, z żadnej strony nie dającą się obejść. Niko zwinny, silny, i gibki radził sobie jako tako, lecz biedny doktor otyły, krótkonogi, pękaty potykał się i upadał co chwila, tchu złapać nie mogąc ze znużenia.

— Zobaczysz, Niko, że sobie co złamię!—powtarzał—nogę albo rękę, zobaczysz!

— To ja pan sobie złożysz.

— Niko, bądź że rozsądnym! Nie trzeba się upierać przy niepodobieństwie!

Ale na nic się to nie zdało. Niko nie słuchał, a doktor podążać musiał za nim, widząc, że przekonać go nie potrafi.

Szli tak coraz dalej, niepewni czy dobrze idą i czy dojdą wreszcie do zamku. Mieli jednak prawo przypuszczać, że tak, bo ciągle idąc pod górę, stanęli wreszcie na skraju lasu, niezbyt już gęstą drzew firanką oddzieleni od bezdrzewnego skłonu stromo wznoszącej się góry.

Było już około trzeciej po południu i Niko nie mógł odmówić doktorowi małego przystanku nad brzegiem strumienia, tego samego, który im z początku służył za przewodnika. Zresztą nogi domagały się spoczynku, a żołądek upominał się o prawa swoje.

W torbach podróźnych nie brakło żywności, manierki obaj mieli pełne, czysta i chłodna woda, płynąca kamienistym łożyskiem strumienia o kilka kroków od nich płynęła.

Czegóż więcej pragnąć mogli strudzeni?

Odkąd wyszli, nie znalazł doktor sposobności porozmawiania z Nikonem, który go wciąż wyprzedzał. Teraz zato, gdy obaj usiedli postanowił wynagrodzić to sobie, bo, o ile leśniczy był małomównym o tyle Patak gadatliwym.

Nie będzie się więc dziwił czytelnik, że tak wielosłowne pytania otrzymują tak zwięzłe odpowiedzi.

— Pomówmy z sobą, Nikonie, a mówmy poważnie, co uważam za rzecz dla nas obu konieczną.

— Słucham — krótko odparł leśniczy.

— Mniemam, iż jeżeli zatrzymaliśmy się w tem miejscu, to jedynie w celu nabrania sił do dalszej drogi?

— Ma się rozumieć.

— Wiodącej nas z powrotem do Werstu.

— Nie, do zamku.

— Zastanówże się, Niko, jesteśmy w drodze od sześciu godzin a uszliśmy zaledwie połowę drogi.

— Co dowodzi, że czasu nie mamy do tracenienia.

(d. c. n.)

KONKURSA WAKACYJNE.

Jak zwykle, tak i w tym roku powołujemy do konkursu kochanych czytelników naszych, którzy podczas wolnych chwil wakacyjnych chętnie zawsze poświęcają godzin kilka na zadośćuczynienie naszemu wezwaniu. Mamy nadzieję, że i tym razem tak będzie, że nie poskąpi nam pracy miła nasza gromadka, do której tym razem włączamy i starszki. Dawne te przyjaciółki nasze upominają się o konkurs; niechże się stanie zadość ich życzeniom, tembardziej, że jako starsze,

jako więcej już z życiem obeznane i więcej się nad niem zastanawiające, bez trudności potrafią odpowiedzieć na pytanie:

Jakiej pracy dajesz pierwszeństwo nad innemi i dlaczego?

To samo pytanie zadajemy i chłopczykom. Młodzież męska, od lat najmłodszych chowana w tej myśli, że wśród licznych gałęzi pracy przyjdzie jej kiedyś wybierać sobie zawód, zawczasu przygotowaną być powinna do odpowiedzi na pytanie, odpowiedzi która wypadnie tak różną, jak różnemi są charaktery, zdolności, pragnienia i pojęcia o świecie i obowiązkach człowieka.

Dla młodszych zaś panienek, naznaczamy jak zwykle konkurs robót z prośbą, aby — o ile wiek na to pozwala — roboty były nie tylko uszyte, ale i skrojone własnoręcznie. Ponieważ przedmioty przez was uszyte dostają się ubogim dzieciom, dla których stanowią prawdziwe dobrodziejstwo, prosimy zatem o wybieranie materiałów mocnych jak barchany, perkale i t. p. przeznaczonemu swemu odpowiadających oraz o krój jak najprostszy. Termin do nadsyłania tak wypracowań jak i robót, naznaczamy na 1-go Września; prosimy przytem o zachowanie zwykłych warunków, to jest o wymienienie pseudonimu, imienia, nazwiska, oraz o przypinanie do robót kartek z wymienieniem miejsca zamieszkania, lat i powyżej wyliczonych szczegółów.

Podczas zwykłej w porze wakacyjnej rozsypki, praca, jaką zadaniom konkursowym poświęcicie, stanie się łącznikiem pomiędzy drogą dziatwą naszą a nami, i dlatego też spodziewamy się, że mało które z was uchylić się od niej zapragnie. Tym, zarówno jak wszystkim wam, przesyła życzenia przyjemnych wakacyj.

Redakcyja

Łamigłówka w trójkącie.

. Zappełnić kropki literami, aby
. rząd pierwszy oraz pierwsze litery utworzyły nazwę kraju nad
. Adryatykiem. — Znaczenie wyrazów
. w dalszych rzędach: 2. Część północna
. królestwa Neapolitańskiego. 3. Wieś, w okolicy której znajdują się ruiny starożytnych Teb.
. 4. Roślina aromatyczna aptekarska z rodziny wargowych. 5. Nazwa zwierzęcia czczonego przez Egipcyan. 6. Drzewo z rodziny iglastych. 7. Zaimek osobowy. 8. Samogłoska. Wyrazy te składają się z następujących zgłosek: a—a—a—cya—cis—dal—ja—lu—mie—bruz—ma—zy — ksor — ta — pis.

HOMONIM.

przez Ewę Maryę.

Tak człowiek zwie się, który zwiedza różne kraje,
Bada skarby ich ziemi, ludy i zwyczaje;
Lub na łąkach, przy drodze z żółtym kwiatem ziele,
Co własności leczniczych i innych ma wiele.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23 go

Zadania matematycznego:

3	3	3	4	1	4	2	5	2
3		3	1		1	5		5
3	3	3	4	1	4	2	5	2
		24			20			28
1	7	1	*	9	*	4	*	5
7		7	9		9	*		*
1	7	1	*	9	*	5	*	4
		32			36			18

Szarały: Nas — tur — cya.

Od Redakcyi „Kroniki Rodzinnej“.

Przy kończącem się półroczu nadmieniamy, że Kronika Rodzinna wychodzić będzie nadal na tychże samych warunkach i kierunku. Oprócz działu ze świata wiedzy, zapoznającego z nowemi odkryciami i wynalazkami na polu naukowem, zamieszczać będziemy pogadanki pedagogiczne, sprawozdania z nowych dzieł wydawanych w kraju i zagranicą, wiadomości dotyczące praktycznego życia pracy, oraz kwestyj ogólnego interesu. Dawać też będziemy stale korespondencje zagraniczne, powieści oryginalne i wyborowe obce przekłady, podróże rodaków i niewydane pamiętniki udzielane nam z archiwów domowych.

PRENUMERATA:

w WARSZAWIE rocznie rs. 4 — na pocztę w kraju i zagranicą rs. 5 (t. j. w Galicyi zlr. 6, w Poznańskim marek 10) stosownie do tej ceny opłata półroczna i kwartalna.

Przesyłki pieniężne adresować należy wprost do Redakcyi:

Warszawa, ulica Mazowiecka, Nr. 10.

Prenumeratorom półrocznym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurowa Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Liszki zmieniające kształty (z drzew.). — Balonem do bieguna, p. Wł. Umińskiego. — Kozioł zbawcą warowni (z drzew.) — Mały królewicz, powieść z dziejów węgierskich p. Teresę Jadwigę. — Tajemniczy zamek. — Konkursa wakacyjne. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Kocia i Kicia, wiersz p. T. P. (z drzew.). — Koncert ptasi, p. S. S. — Lekkomysłny Franuś, Henryka Wernica. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Wśród puszczy meksykańskich.

WIECZORY RODZINNE.



KOCIA I KICIA.

KOCIA I KICIA.

Przedstawiam dwie koleżanki:
Burą Kicię, tłustą Kocię;
Dokazują całe ranki,
Nie zbywa im na ochocie.
To się pieścza, to się obie
Przewracają po dywanie,
To za drzwiami Kocia stanie
I paluszkami drapie, skrobie:
Kicia myśli, że to może
Psołnych myszy jest w tem sprawa,
Więc się czai jak przy norze,
Choć napróżno! Lecz zabawa
To najmiłsza, kiedy w kółko
Kocia kręci się jak fryga,
A Kicia za przyjaciółką
W susach, w płasach, w skokach ściga,
Albo znów zabawa nowa:
Kocia się pod stołem chowa,

Kicia szuka ją z zapalem,
Aż w mieszkaniu słycać całem
Koleżanek skoki, śmiechy,
Tak tam pełno tej uciechy.

T. P.

KONCERT PTASI.

Z każdym dniem wiosennym coraz więcej ptasząt przylatywało, nie było końca powitaniom ich i rozmowom i nie dziw, tyle czasu się z sobą nie widziały. Do radości przy powitaniach, często mieszał się smutek na myśl o utraconych przyjaciółkach, którzy zginęli na obczyźnie lub w kraju nie przetrzymali srogiej zimy. Żalom wszakże oddawali się tylko starsi; młodzi którzy w roku poprzednim wyrosli, cieszyli się wiosną i gwarem, jaki ich otaczał, a na znak radości z powrotu do kraju, młode ptaszki postanowiły urządzić wielki koncert, z zapalem zabrano się też zaraz do przygotowań.

Najwięcej kłopotu było z zaproszeniem gości i urządzeniem dekoracji. Roznoszenia zaproszeń podjęły się jaskółki.

Dwa młode ptaszki w czarnych fraczkach, z pod których z przodu widać było śnieżno białe kamizelki i żółte krawaty, puściły się w drogę.

Zapraszały przede wszystkim ptaki znane z talentu, aby raczyły przyjąć czynny udział w koncercie. A tak uprzejmie umiały przemawiać, że nikt im nie odmówił, wszyscy najlepsi artyści obiecali się stawić. Wtedy 12 jaskółek zaczęło roznosić zaproszonym gościom kartki z brzoźowej kory z napisem:

„Program koncertu d. 20 maja 1892 roku na znak radości ze szczęśliwego powrotu ptaków do miłego kraju.

„Wiosna” zaśpiewa chór ptasząt pod dyрекcją Kosa.

„Jutrzenka” zaśpiewa autor Skowronek.

Koncert na skrzypcach odegra Derkacz.

„Jak piękny świat” ułoży i zaśpiewa Drozd.

Na fujarce zagra kos, z towarzyszeniem Dzwonka.

„I ptaszki cierpią ból”, wykona autor Słowik.

„Echo”, uwertura z pieśni ptasząt zaśpiewa Wilga.

„Hymn” chór ptasząt pod dyрекcją Kosa.

Uroczystość zakończy tańcząca zabawa.

Wejście dla wszystkich ptaków bezpłatne.

Miejsce zabawy lasek.”

Urządzeniem miejsca zabawy zajął się najlepszy dekorator pan Maj, a ozdobił je tak pięknie, jak tylko zamaryć było można. Najpierw sosnom i jodłom dał ciemno zieloną szatę, z ciężkiego aksamitu, u stóp ich rozestawił mięki jedwab, mieniający się zielonemi odcieniami, wśród których prześlicznie wyglądały drobne kwiateczki; szczytem sztuki przecież było urządzenie sklepienia! Na miodrem tem sklepieniu poruszały się lekkie obłoki w kształcie wielkiego z rozdętymi żaglami okrętu, a ku masztom jego zlatywały się jak ptaszki drobne obłoczki, oświetlenie zaś koncertowej sali, urządził najznakomitszy mechanik: Słońce.

W oznaczony dzień licznie zebrało się ptactwo na koncert.

Najpierw przybyła rodzina drozdów, odznaczająca się ciemnym, jednostajnym strojem, wkrótce nadleciał gil w czerwonym generalskim mundurze, i wesoła a strojna jemiołuszka, dalej szczygły i miłe drobne zięby. Nie zawiodły i kraski w balowych błyszczących sukienkach, i dudki pięknie uczesane, sroki w ogoniastych żałobnych szatach, gołębie białe przybrane, kruki w czarnych frakach i wiele, wiele innych ptasząt, a któżby je wyliczyć zdołał!

Koncert udał się doskonale, wszyscy byli wzruszeni i zachwyceni. Jednym najlepiej podobała się wesoła pieśń skowronka, inni przekładali smętny śpiew słowika, ale i drozd, kos, dzwonec i wilga odbierali huczne oklaski. Chóry wzbudziły ogólny zachwyt, niejednokrotnie wywoływano dyrektora kosa, który pięknie i poważnie wyglądał, gdy w czarnem ubraniu siedział na wierzchołku sosny, dyrygując chórem.

Gdy po skończonym koncercie zgromadzenie otrząsnęło się z głębokiego wzruszenia rozpoczęło swobodną zabawę.

— Zupełnie już teraz zapomniałam o przykrościach, jakie zniosłam w zimie — mówiła zcicha zięba do kraski:

— Nie dziwię się, tak tu pięknie i miło, żałuję tylko, że nie ma tu mojej żony — odpowiedział ptaszek.

— A cóż się z nią dzieje?

— Nie mogłem jej namówić aby choć na chwilę przyleciała zemną, tak pilnuje dzieci. Takie to już wszystkie mateczki, wyrzekają się własnych przyjemności, by strzedz swych piskląt, aby im się co złego nie stało. Żeby przynajmniej udało mi się dobrze dzieci wychować, aby potem odwdzięczyły się rodzicom za ich troski i pracę.

— A ileż macie piskląt?

— Siedm, siedm droga ziębo, oj wielka to praca wychować tyle drobiazgu, a wszystko to takie żywe i krzykliwe, że spokój mamy tylko wtedy, gdy śpią. Czy zostajesz jeszcze na tańcach kochana ziębo?

— O nie mogę, muszę wracać, szło mi tylko o koncert, tańce młodszym zostawiam.

— No, to lećmy razem, mieszkamy w jednych stonach.

I inne ptaszki, które miały w domu rodzinę, śpiesznie wracały do gniazd, a w gniazdkach czekały je niecierpliwie dzieci, ptaszki musiały im opowiedzieć wszystko o koncercie, wszystko od początku do końca.

Więtrzyk, który przelatywał nad lasem, słyszał cały koncert, opowiedział też kwiatom na łące, jak to ptaki pięknie i uroczyście obchodziły powrót do kraju, dając tem dowód jak kraj swój kochają, a wiadomość ta szeroko rozeszła się po świecie.

S. S.

LEKKOMYŚLNY FRANUS.

przez

Henryka Wernica.

(Dalszy ciąg).

— Nie ciesz się tak Franusiu—rzekł mu nauczyciel, bo jeszcze nie wiesz, czy pojedziesz. Pamiętaj, że nieraz spodziewana przyjemność zamienia się na zmartwienie.

Franus zasiadł do pracy, lecz mając zajętą głowę widowiskiem, nie zważał na wykład, w skutek czego z zadaniem arytmetycznem rady sobie dać nie mógł; podobnie też poszło mu z innemi lekcyami.

Nazajutrz cały dom a zatem i Franus gotował się na sobotę. Każdy odświętne wydobywał szaty, aby jak najpiękniej przedstawić się w teatrze; jeden tylko pan K. nie czynił żadnych przygotowań.

W sobotę z rana kiedy wszyscy byli gotowi do podróży oczekując na Franusia i na nauczyciela, ten ukazał się w powszednim ubiorze oznajmiając, że nie może pozwolić na to iżby Franus pojechał, gdyż przez cały tydzień był nieuważny i opieszale, a w ostatnich dwóch dniach bardziej się jeszcze opuścił. Wreszcie dodał z udaną obojętnością. — Takie jest moje zdanie, ale jeśli pan—rzekł zwracając się do wuja—koniecznie życzy sobie żeby Franus pojechał, to sprzeciwić się temu nie mam prawa.

Działo się to w obecności Franusia, który zbłądł nie mogąc wyrzec ani słowa na swe usprawiedliwienie, bo czuł, że to co pan K. mówi, było istotną prawdą.

Przykre było położenie wuja, pragnął żeby Franuś pojechał, ale pamiętał że przyrzekł panu K. nie mieszać się do jego rozporządzeń. Niezadowolony usiadł na kanapie. Niemiła cisza zapanowała w pokoju, Franuś spoglądał na wuja, pan K. wyglądał przez okno, a goście usunęli się na stronę. Wuj wskazał Franusiovi wzrokiem nauczyciela, chcąc mu dać poznać że sam powinien go poprosić o pozwolenie. Zrozumiał to Franuś, zbliżył się do nauczyciela i nieśmiałym głosem począł do niego przemawiać. Do prośby Franusia przyłączyli się obecni goście.

— Niechże więc jedzie — rzekł pan K. — ale za strzegam sobie, iż na przyszły raz żadne względy nie wpłyną na zmianę mojego postanowienia.

Dziękuję panu — rzekł wuj podając rękę panu K. — ale mam jedną prośbę, t. j. żebyś zechciał z nami pojechać. — Jakoż po chwili czworo sań pełnych podróżnych ruszyło do Włocławka.

Franuś doskonale się bawił w teatrze, ustawicznie się śmiał i bił oklaski. Szczęściem, iż nazajutrz była niedziela, bo marzył tylko o tem co wczoraj widział i uśmiechał się przypominając sobie zabawne sceny. W poniedziałek nauka szła dosyć opornie, niepodobna mu było skupić uwagi.

Pan K. wiedząc, że po niezwykłych wrażeniach trudno wymagać od młodych wielkiego skupienia umysłu, przestrzegał go tylko łagodnie ale nie strofował, spodziewał się, że po kilku dniach wrażenie się zatrze, a Franuś wierny swemu przyrzeczeniu z większą gorliwością pracować będzie. Następnie bywały godziny w których Franuś był uważniejszy i pilniejszy, ale niebawem wrócił do dawnej opieszałości.

Pan K. biedził się z lekkomyślnym chłopcem i znów się ucieszył, kiedy po kilku dniach Franuś począł być pilniejszym. Wtem usłużny sąsiad przywiózł nowe bilety na świetne przedstawienie, jak brzmiał afisz. Zaledwie Franuś o tem się dowiedział, znów się zaniedbał, bo znów myśl o widowisku zaprzątnęła mu głowę. Pan K. był niezadowolony i wręcz mu powiedział, że jeśli przez trzy dni następne nie będzie gorliwie pracował, to nie pozwoli mu być w teatrze. Ale Franuś niewiele sobie z tego robił, myśląc że i tym razem uda mu się zmieknąć nauczyciela. Bardzo wszakże omylił się, bo nikt za nim się już nie śmiał wstawiać i wuj sam pojechał do Włocławka.

Z wielkim smutkiem zdjął Franuś odświętną odzież i zasiadł przy stoliku. Przygotuj się do pisania, rzekł pan K. łagodnie, wybierając z książki ustęp, który chciał mu podyktować. — Jaki ja nieszczęśliwy! — myślał sobie Franuś. Wuj z gośćmi i kilku domownikami pojechał do Włocławka. Taka wyborna sanna! a ja muszę siedzieć przy stoliku, pisać i uważać żeby nie było błędów.

Jak wielu chłopców tak i on, chociaż sam jedynie winien był temu co zaszło, uskarżał się w duszy na surowość i niesprawiedliwość nauczyciela. Napisał już pół strony; jakże wolno wlokła się ta godzina. Krew ude-

rzyła mu do głowy, chwycił za scyzoryk leżący na stole i chociaż wcale tego nie było potrzeba, począł temperować ołówek, a temperując gorączkowo bez uwagi coraz bardziej go ścinał i ostatecznie porzucił na kawałki. Przez niejaki czas nauczyciel przyglądał się w milczeniu Franusiovi, poczem wyrzekł:

— Cemu temperujesz, weź się do pisania?

— Nie będę pisał — odrzekł Franuś krnąbrnie, odsunął zeszyt i ze scyzorykiem zeskoczył z krzesła aby wyjść z pokoju.

— Cóż to! zamierzasz być nieposłusznym? — rzekł pan K., chwytając go silnie za rękę i sadzając na krześle. Opierając się temu Franuś skaleczył się scyzorykiem. Gniew jego i oburzenie na nauczyciela nie miały granic, ulegając wszakże przemocy usiadł, lecz ponieważ krew sączyła mu się z ręki, nie mógł już pisać, robił więc inne lekcye, obwiązawszy rękę chustką.

Po lekcyi pan K., jakkolwiek Franuś nie zasługiwał na jego dobroć, kazał przynieść szklanekę wody, obmył i opatrzył mu rękę.

— Aha! — pomyślał sobie Franuś — obawia się wuja, chce ranę czemprędzej zagoić. Nic z tego nie będzie, wuj zobaczy że się skaleczył i pewno wydali tego niezdolnego człowieka, a wtedy będę znów swobodny!

Reszta dnia przeszła dosyć spokojnie, Franuś był uważniejszy i gorliwiej pracował, a w porze popołudnowej jak zwykle pojechał z panem K. małemi saneczkami na przechadzkę. Wieczorem udał się na spoczynek; przymuszał się aby nie zasnąć; wszakże młodość wzięła górę nad jego postanowieniem i smacznie już spał gdy wuj powrócił. Przebudziwszy się nazajutrz, inaczej ocenił wczorajsze swoje postępowanie, uznał w duszy swą winę, a starannie przewiązawszy skaleczoną rękę, zeszedł do sali na śniadanie. Po powitaniu wuja począł się wypytywać o treść przedstawionych sztuki. Podczas opowiadania zapomniawszy o skaleczeniu położył lewą rękę na stole.

— Cóż ci to Franusiu? — spytał wuj — skaleczyłeś się w rękę.

Zmieszany chłopiec nie wiedział na razie co odpowiedzieć.

— Powiedz co się stało — nalegał wuj — czemu nie mówisz?

Franuś wciąż milczał; w duszy jego zacięta toczyła się walka pomiędzy prawdą a kłamstwem. Przypomniał sobie, ilu to przyjemności pozbawił go pan K. znów się na niego rozgniewał. Jedno jego słowo mogło sprawić wielką przykrość panu K.

— Powiedz że jak się to stało — rzekł wuj przyglądając się jego ręce.

Franuś jeszcze się wahał. Spojrzał na drzwi jak gdyby się obawiał, żeby kto nie podsłuchiwał tego co powie; zaczął: pan K., ale w duszy jego odezwał się głos sumienia: Franusiu! powstrzymaj się. Istotnie Franuś się zastrzymał, nie mógł mówić: Wuj wciąż spoglądał na niego badawczym wzrokiem, wybaknął więc:

— Pan K. wczoraj tak się na mnie rozgniewał, iż w gniewie scyzorykiem zranił mi rękę.

— Czy to być może? — rzekł wuj z niedowierzaniem.

— Tak jest — upewniał Franuś.

Wuj się zamyślił; bardzo było mu przykro, że pan K. jest tak popędliwym człowiekiem. Powstał z krzesła i przechadzał się po sali, namyślając się jak postąpić.

— Czy tylko mówisz prawdę? — zapytał jeszcze.

— Tak jest — rzekł znów Franuś, zlekka się zarumieniwszy.

— Muszę zapytać pana K. jak to było — rzekł wuj.

Na te słowa chłopiec hardzo się zmieszał. Był jeszcze czas powiedzieć prawdę, ale zabrakło mu na to odwagi i milczał. Pan K. wchodził właśnie do salonu, Franuś więc czempredzej wymknął się przez drugie drzwi i pobiegł do swego pokoju, nie wiedząc co począć. Wiedział że teraz prawda wykryć się musi. Zaniepokojony siadł przy stoliku, rozłożył książki, przygotował zeszyty, przepowiadał lekcję, ale od czasu do czasu spoglądał na drzwi, spodziewając się lada chwila ujrzeć rozgniewane oblicze wuja i pana K. Chwile oczekiwania wlokły się bardzo powolnie. Wtem drzwi się otworzyły i sam pan K. wszedł do pokoju. Franuś był przygotowany na wielką burzę, na gorzkie wyrzuty na które tak sprawiedliwie zasłużył, wielce więc się zdumiał, gdy pan K. nic nie wspomniawszy o tem co zaszło, począł wykladać ciekawy ustęp z dziejów. Franuś był uważniejszy i spokojniejszy niż zwykle, lecz za zbliżeniem się pory obiadowej, wzmogła się jego obawa spotkania się oko w oko z wujem. Obiad wszakże przeszedł spokojnie jak zwykle.

Wieczorem przybyło kilka osób. Przy herbacie ktoś z gości począł opowiadać o pewnym źle wychowanym chłopcu i rzekł, że za najbrzydszą wadę młodzieży uważa kłamstwo.

— O i ja znam jednego chłopca—wtrącił wuj—który nikczemnie skłamał—i począł opowiadać całe wczorajsze wydarzenie, nie wymieniając imienia Franusia.

Franuś to bladł, to czerwieniał, chciał powstać i odejść, ale nie wypadało, bo tem większą zwrócił by na siebie uwagę. Siedział jak na szpilkach, nie śmiejąc nikomu spojrzeć w oczy, a czuł, że wzrok wszystkich zwrócony był na niego. Od czasu do czasu błagalnie rzucał spojrzenia na wuja, jakby prosząc aby nie kończył opowiadania, lecz wuj na to nie zważał i wypowiedział wszystko co miał na sercu. Z wielkiego wstydu i upokorzenia łzy stanęły w oczach Franusia. Ukończyła się wreszcie herbata, z nikim się nie pożegnawszy Franuś cichaczem wymknął się do swego pokoju. Dochodziły go wesole głosy biesiadników. Zwyczajnie i on brał udział w ogólnej zabawie, a dziś samotnie siedział smutny i zawstydzony. Usiłował usnąć, ale nie mógł. Gdy ostatni goście się rozjechali, wszedł nieśmiało do pokoju w którym wuj rozmawiał z panem K., prosząc ze łzami o przebaczenie.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Murzynka z nad Prosną dla J...

Takie to już dziwne jest ze mnie stworzenie,
Że choć kocham serdecznie mą rodzinną ziemię,

Jednakże co rok o jesiennej porze
Uciekam z niej daleko, daleko za morze,
Po to aby znów wiosną z największą uciechą
Wesoło zaszczebotać pod rodzinną strzechą!
Ale co najdziwniejsze, że choć was opuszczę,
Choć nas z sobą rozdzieli morza, góry, puszcze,
Choć nie czytamy, nie piszę ani też rysuję,
Na liścik jednak każdy, chętnie odpisuję.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Orzeł B.

Ułożyć z następujących sylab: Mur—na—war—ren—ów—zół—a—kiew — 5 wyrazów, których początkowe litery utworzą nazwę ptaka z rodzaju brodzących, z rodziny bekasowatych, lub nazwę miecza. Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Galicyi nad Prutem. 2. Zaimek wskazujący. 3. Rzeka w Niemczech. 4. Rzeka w Azji. 5. Miasto w Bułgarii sławne bitwą.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

Szarady: Go — łąb — ka.

Łamigłówki kwadratowej:

W i l n o
L i b a n
S o s n a
G o p ł o
D r a w a

Skrzynka do listów.

Niezabudce czeskiej posyłamy najlepsze życzenia na nową drogę życia, którego obowiązki pojęła zawczasu tak poważnie i pięknie. Nie wątpimy też, że spełniając je nadal znajdzie szczęście prawdziwe, jakiego dla niej pragniemy serdecznie.

Zdaje mi się, kochana Jskierko z pod Lublina, że przyczyną przyjaźni, twojej dla mnie, jest wiek nasz mniej więcej jednakowy. Zdaje mi się, że Gołąbka i Wiochna muszą być rówieśnicami, my zaś obie nie należymy jeszcze do staruszek. „Balonem do bieguna” i mnie bardzo zajmuje. Ciociu Maniu, jak ja ci zazdroszczę, że kilka dni spędziłaś na wsi! Najmilszą jest wieś podczas kwitnienia bzów, a potem róż. Parę lat temu Gołąbka była w Zakopanem przez dwa miesiące; i ja także mam tę wycieczkę przyobiecana, ale nie na ten rok. Dlaczego mówisz, że twoje listy nie są zajmujące? Mnie bardzo zajmują. Napisz do mnie podczas lata, dobrze? Pojato, jakaś ty dobra, że pamiętasz o tych biednych dzieciach, jadących na kolonie letnie! Więcej odemnie zajmuje się niemi Gołąbka, ale i mnie los ich żywo obchodzi. Niezapominajko z nad Warty, i tobie dziękuję za ofiarę na kolonie i pewna jestem, że Józio podziękuje ci równie serdecznie za tego korespondenta, którego mu przyrzekasz. Niechże nabierze odwagi i niech napisze, bo Józiowi każdy odebrany list sprawia największą w świecie przyjemność. Coprawda, to i mnie także i bardzo wam jest wdzięczną za okazywaną jej życzliwość.

Juskółka.